

Nieoczekiwanie znaleźliśmy się niemal u schyłku sezonu teatralnego. W maju zaczęły się festiwale, weszliśmy w okres nagród — społecznych, ministerialnych, państwowych; ale przecież mogą na nie liczyć tylko ci, którzy wystartowali w odpowiednim czasie, którzy — jak mówi znany dowcip — dali Panu Bogu szansę i wykupili los.

O tym, który mija, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że był sezonem wydarzeń. Bywały takie, znamy je, sezon ostatni niepodobny. Myślę, że najważniejszym kryterium jego oceny staną się programy repertuarowe i profile artystyczne, a więc jak gdyby modele już ukształtowane i nadal się kształtujące. Rozpatrywanie poszczególnych przedstawień daje niewiele; są to albo mniejsze lub większe klęski, albo mierne sukcesy. W takiej sytuacji zaczynają znaczyć sumy. Można się o tym przekonać chociażby na przykładzie wybitnych skądinąd teatrów warszawskich. Nieporozumienia repertuarowe i artystyczne powodują, że na mapie teatralnej zamiast zasłużonych narodowi scen występują — w tym akurat sezonie, powtarzam — białe plamy. Jest to nieuniknione, ale należy rozumieć zjawisko. Teatr, który poprzednio żył wydarzeniami, czy od wydarzenia do wydarzenia, nie potrafi w kolejnym sezonie złapać rytmicznego oddechu i bardziej lub mniej skromnie realizować swojego programu, a więc zamierzeń rozleglejszych i dalej sięgających, niż na je-

wyższymi uczelniami i szkołami średnimi, a także ze stocznia i wielkimi zakładami pracy. Teatr Wybrzeże, jak niewiele innych, dobrze rozumie swoją funkcję niejako usługową. Na określone zapotrzebowanie musi odpowiedzieć określoną podażą dobrze opakowanego towaru artystycznego, jeśli wewnątrz zdarzy się niespodzianka, wydarzenie artystyczne, tym większą wdzięczność może odczuwać publiczność dla swoich artystów. Kursuje anegdota, że w tym teatrze zaplanowane są na rok lub dwa lata nie tylko dokładne daty premier, ale nawet godziny rozpoczęcia przedstawień, a dyrekcja niechętnie się do tego przyznaje, aby nie wydać się instytucją zbyt solidną...

W stałym repertuarze Teatru Wybrzeże znajduje się zawsze kilkanaście przedstawień. Nowe premiery wchodzi w określone konteksty, uzupełniają określony program. Spytajmy, dlaczego „Odprawa posłów greckich” (lub inny utwór)? A dlatego, że jest już w repertuarze i Szekspir, i „Zemsta”, i rzecz współczesna, i dramat krajów socjalistycznych. Wobec tego i czas, i pora na cieniowanie obrazu.

Właśnie „Odprawa posłów greckich” weszła w tym sezonie rzeczywiście na scenę Teatru Wybrzeże w przygotowanej przez Juliana Lewańskiego oprawie z politycznych i literackich tekstów staropolskich; przedstawienie nosi tytuł „Świat zawikłany”, wyreżyserował je Marek Okopiński w scenografii Mariana Kołodzieja. Inne premiery to „Ther-

zeńską”. Niewątpliwie najciekawszy był „Świat zawikłany”: „Odprawa posłów greckich”, wzbogacona fragmentami tekstów staropolskich, jak m. in. „Sąd Parysa”, „Tragedia żebracza”, „Wyprawa plebańska”, fragmenty pism Modrzewskiego, Orzechowskiego, Górki, Ossolińskiego. Zamysłem było pokazanie stałego sporu pomiędzy myślą postępową a wsteczną, pomiędzy rzecznikami wolności myśli ludzkiej i decyzji, a tymi, którzy chcieliby ją ograniczyć dla łatwiejszego posługiwania się bezwolnym tłumem. Przedstawienie dzięki Lewańskiemu daje materiał bogaty i różnorodny, dzięki Okopińskiemu toczy się pomysłowo i sprawnie, w dobrym klimacie aktorskim, dzięki Kołodziejowi cieszy oko wyśmakowanym kolorytem kostiumów i dekoracji, a zarazem ich prostą funkcjonalnością. Jednak chwilami czujemy się jak na zbyt rozwlekłej lekcji literatury staropolskiej, ogarnia znużenie. Stąd chyba płynące, że spór, o którym mowa, dobre i złe intencje autorskie powtarzają się tu wprawdzie w różnych wariantach, ale niezmiennie, natrętnie. Jest to dobra lekcja literatury staropolskiej, ale zarazem przedstawienie myślowo i teatralnie tautologiczne. Jak gdyby realizatorzy chcieli udowodnić, że Kochanowski tego, co napisał w „Odprawie”, nie wysłał z palca, lecz wziął z owoczesnej literatury i... atmosfery umysłowej. Oczywiście. Tyle że z przeprowadzenia takiego dowodu niewiele wynika. Wyniknęłoby, moim zdaniem, więcej, gdyby zestawili „Odprawę”,

ZYGMUNT GREŃ

w Gdańsku i w Polsce

den sezon. Następnym nadmierne wysiłku bywają, a raczej są nieuchronnie kryzysy. Pewnych prawidłowości życia społeczno-artystycznego nie uda się zmienić; powinniśmy się z nimi liczyć.

Wszelkie przykłady stołeczne nie są jednak najlepszym materiałem dowodowym: po prostu zbyt wiele bywa tam naraz punktów widzenia, by z każdej przesłanki nie udało się wyciągnąć natychmiast przeciwstawnych sobie wniosków. I by wnioski takie nie były z chłodną precyzją wyprowadzane.

Skąd się nasunęły te antystołeczne akcenty, skoro chcę pisać o Gdańsku i jego teatrze? Stąd chyba, że przed paroma miesiącami, z okazji zeszłorocznych spotkań teatralnych, sporo w Warszawie o Gdańsku mówiono. I to z pewnymi pretensjami. Że mianowicie kreuje się na prowincji jakieś mity doskonałego teatru, które w konfrontacji z opinią stołeczną okazują się... Dostało się przy okazji recenzentom, gdy ktoś napisał, że Gdańsk, jak niektóre inne ośrodki pozawarszawskie, ma wśród nich wielbicieli zaprzysiężonych; nie dodano, że płatnych — nawet Kałużyński, jak się okazuje, zdarza się u nas raz na pokolenie czy dziesięciolecie.

Zarzuty były bez sensu. Nie oskarża się teatru o to, że znakomicie wystawił marną sztukę wybitnego autora; taka jest właśnie jego rola. Trudno też wyobrazić sobie jakikolwiek kraj, gdzie prapremię sztuki sprzed sześćdziesięciu lat, w rodzaju „Termopili polskich” Miczińskiego, jednego z najbardziej dramatycznych (mówię to w sensie wewnętrznym, a nie formalnym) utworów scenicznych w naszej literaturze, uznano by za przedstawienie i nudne, i szkolne, i jałowe, tylko z powodu jednej czy dwu ról słabych aktorskich. Opinia publiczności, która tłumnie uczestniczyła w spotkaniach, była inna. Opinia tzw. środowiska — właśnie taka, szydercza i niesprawiedliwa.

Tymczasem Teatr Wybrzeże kontynuuje swoją działalność w mądrym kierunku. Zdarzają się tam, w sezonie czy co drugi sezon, wydarzenia, jak kiedyś „Ulisses”, jak wspomniane „Termopile”, czy znakomicie przypomniane „Czekając na Godota”. Ale nie tymi wydarzeniami żyje teatr na swoich obu scenach, w Gdańsku i w Sopocie, inne ma obowiązki, więc i nie wydarzenia są jego programem. Dlatego, być może, nie wyczerpuje przedwcześnie swojej energii, stać go na pracę rytmiczną, bez sztucznego podwyższania ciśnienia.

Właśnie przykład Gdańska w ostatnich miesiącach pokazuje jak gdyby przeciętny sezon. Przykład teatru bardzo silnie związanego ze swoim naturalnym środowiskiem, z



„Zakładnik” w Teatrze Kameralnym w Sopocie. Matylda Szymańska (Teresa) i Jerzy Łapiński (Pat).

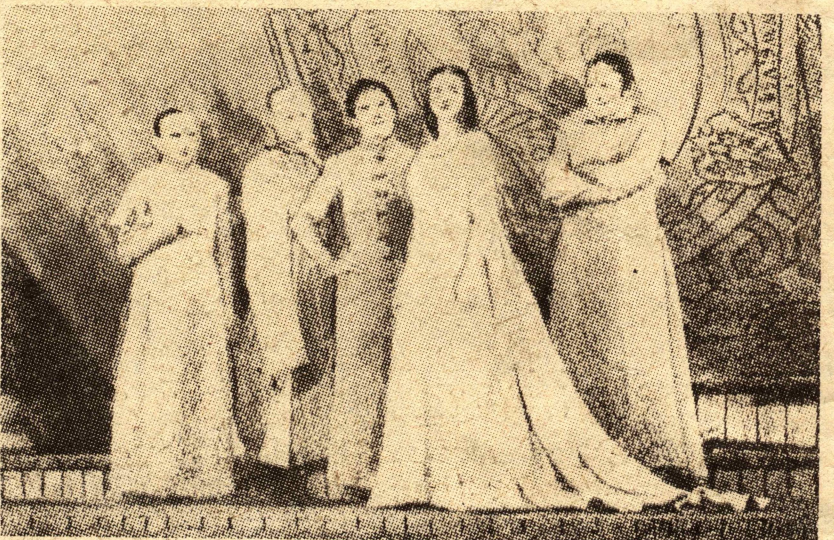
midor” Stanisławy Przybyszewskiej, autorki tak tragicznie związanej z Gdańskiem międzywojennym, w reżyserii Okopińskiego i scenografii Ali Bunscha; „Don Alvaros” Lubomirskiego (reż. Krzysztof Rościszewski, scen. Jadwiga Pożakowska); sztuki obce: „Czapka błazeńska” Pirandella (reż. Danuta Baduszkowa, scen. Pożakowska), „Zakładnik” Behana (reż. Jerzy Kreczmar, scen. Jan Kosiński i Barbara Jankowska, muz. Zbigniew Turski); polska prapremiera „Cmentarzyska samochodów” Arrabala w reżyserii Stanisława Hebanowskiego i scenografii Kołodzieja. Wreszcie Okopiński, wierny temu autorowi od dawna, przygotowuje „Sady połowcańskie” Leonowa przy współpracy scenograficznej Zofii Wierchowicz.

Kilka z tych przedstawień udało mi się zobaczyć: „Odprawę”, „Thermidor”, „Zakładnika”, „Czapkę bła-

jak to proponowałem kiedyś po krakowskiej premierze, z podobnie zaangażowanymi moralnie i politycznie utworami z innych, późniejszych epok. Ale jedno przynajmniej narzuca się po obejrzeniu „Świata zawikłanego”: że publicystów politycznych i historycznych, że pisarzy, po dziś dzień sławnych i znanych lecz przecież także anonimowych, mieliśmy wówczas wielu i różnych; że nie brakowało im ani tematów ani form wypowiedzi; że nie były one skrepowane niczym innym, jak tylko troską o dobro — rozmaicie zresztą, jak zwykle, pojmowane — Rzeczypospolitej.

Gdański „Thermidor” jest drugą premierą utworu, zaadaptowanego na scenę przez Jerzego Krasowskiego, po wrocławskiej prapremierze w reżyserii tegoż. Adaptacja czy opracowanie tekstu polega na wyborze: sztuka jest ogromna i niemożliwa do przedstawienia w ciągu jednego wieczoru. Na temat rewolucji francuskiej, na temat Robespierre’a, Saint Justa, Talliena, Dantona (ten nie występuje zresztą w tej sztuce) miała autorka bardzo dużo — to prawda, że nie zawsze składnie — do powiedzenia. Przed wojną zarzucano jej, że naczytała się broszurek popularnych, które dramatyzuje (Grzymała-Siedlecki). Czytała chyba więcej i dramatyzowała nie popularne poglądy, lecz istotne, moralne i polityczne postawy przywódców rewolucji; dramatyzowała tak dobrze, że owe postawy po dziś dzień pozostają przejrzyste, czytelne, sugestywne.

Rzecz do scenicznej realizacji niewdzięczna: w pierwszej części siedmiu najbliższych współpracowników spiskuje, jak zgładzić Robespierre’a, który im zagraża. W drugiej Robespierre wobec Saint Justa ocenia sytuację własną i Francji. Okopiński prowadzi przedstawienie statycznie lecz czytelnie, wewnątrz-



„Świat zawikłany” w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku.

ny dramatyzm narasta. Z aktorów upamiętnia się Henryk Bista jako Robespierre, ostro charakterystyczny zewnątrz i ascetyczny aktor-sko.

Bezsprzeczną zasługę przywrócenia teatrowi współczesnemu Przybyszewskiej ma Jerzy Krasowski. Ale dobrze się stało, że w zeszłym sezonie po „Sprawę Dantona” sięgnął w Łodzi Jerzy Zegalski, a „Thermidor” wystawia Okopiński. Te utwory powinny się znaleźć w repertuarze naszych scen, a także w powszechniejszej świadomości. Przybyszewska bowiem należała do tego rzadkiego w Polsce gatunku pisarzy, którzy historię traktują jako swoją współczesną, nie tylko więc jako nauczycielkę ale i partnera.

Drugą premierą, po warszawskiej, jest także „Zakładnik” Brendana Behana, irlandzkiego pisarza, w reżyserii Jerzego Kreczmara. Widziałem tę sztukę w Londynie, w prapremierowej realizacji Workshop Theatre i Joan Littlewood: przedstawienie atakowało dosadną wulgarnością, budząc tym aplauz tłumnie zgromadzonej młodzieży. Kreczmar potraktował utwór jak balladę liryczną o dziewczynie, która zakończyła się w angielskim żołnierzu, jeńcu partyzantki irlandzkiej, lecz nie zdołała go ocalić i sama zginęła. Ten utwór sprzed piętnastu lat nabrał dziś bolesnej aktualności. Niektórych raz, że ironicznie, drwiąco, szyderczo przedstawia irlandzkich kombatanów. Są to jednak rany zadawane im przez swego, przez Irlandczyka. Jest w nich to, co najpiękniejsze i najbardziej twórcze: ból i gniew na własne społeczeństwo, że tak daleko mu do ideału...

Reżyseria Kreczmara precyzyjna w każdym aktorskim szczególe. Szczególnie podobała się Matylda Szymańska jako Teresa, bohaterka; następnie Andrzej Szalawski, oblakany Irlandią pułkownik, i Jerzy Łapiński, kombatan irlandzkiej armii wyzwolenczej, poraniony i połamany dziś psychicznie zarówno klęska ojczyzny jak umiarkowanym

osobistym powodzeniem... szefa domu schadzek. Okazuje się, że truciźny „Zakładnika” nie są wcale tak zabójcze...

W serii przedstawień pokazywanych przez Teatr Wybrzeże z okazji Dnia Teatru znalazła się także komedia: „Czapka błazeńska” Pirandella. Przedstawienie otrzymało świetną obsadę — Stanisław Igar, Bogusława Czosnowska, Leszek Ostrowski, Lucyna Legut, Irena Maślińska (wg kolejności w programie) — którą poprowadziła, więc jak gdyby zinstrumentalizowała na scenie Danuta Baduszkowa, dyrektor gdyńskiego Teatru Muzycznego. Podkreślam to, ponieważ czuje się natychmiast rękę nawykłą do prowadzenia komedii muzycznej, operetki; w miejsce odcieni zjawia się dosadność, kompozycje wysokich rejestrów głosu, które publiczność odbiera jako krzyk; wreszcie pantomimy, które na pozór wydają się tylko biegiem, szamotaniną. Są to zresztą elementy usprawiedliwione w pełni włoską, południową, sycylijską temperaturą komedii o biednym małym człowieku, którego opinia postanowiła uczynić rogiaczem — i dopięła swego, jeśli nie w faktach to w plotce. A ta obowiązuje przecież w świecie o wiele bardziej niż fakty.

Tym smutnym stwierdzeniem Pirandella wracamy do sytuacji Teatru Wybrzeże. Przeciwno plotce starałem się zgromadzić tutaj kilka faktów z przeciętnego, neurozmiernego wydarzenia sezonu. Ale brak wydarzeń może na mapie teatralnej ukazać białą plamę lub nie. W Gdańsku białej plamy nie ma, ponieważ — niezależnie od pożądanych czy oczekiwanych świat — istnieje tam niezmacony rytm codziennej pracy artystycznej.

ZYGMUNT GREŃ